MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII NR 42 (nr. 41 skonfiskowano) WARSZAWA 25 WRZEŚNIA 1938 R CENA NUMERU 80 GR

ZJEDNOCZENIE

NARODY zjednoczone wewnętrznie — jak angielski, włoski, niemiecki — odgrywają wielką rolę, rozwijają potężną ekspansję polityczną. Zjednoczenie takie może dokonać się jedynie na podstawie ideologii narodowej i w duchu cywilizacji zachodnio-europejskiej. Tylko bowiem te zasady zdolne są doprowadzić do zgodnego współżycia wszystkie warstwy społeczne, wychować ludzi o mocnych charakterach, zdolnych do współdziałania i poświęceń.

Anglia wyszła łatwo z kryzysu swej polityki w Europie. Nowe jej trudności w Palestynie, ani potężne choć groźne horoskopy z powodu posuwania się wojsk japońskich na południe Azji — nie przeszkodziły jej w poważnym, w ciągu ostatnich miesięcy, rozwoju akcji dyplomatycznej na kontynencie Europy. Oparcie dla tej akcji wytworzono w Anglii również niedawno, zwiększając flotę i wogóle siły obronne państwa.

Jeszcze bardziej przekonywującym przykładem są Włosi i Niemcy. Obserwowaliśmy bowiem, jak w tych państwach panował rozstrój, rozbicie wewnętrzne i osłabienie działalności zagranicznej, jak szybko potem przyszło odrodzenie, zjednoczenie pod kierunkiem silnego rządu narodowego. Widzieliśmy, jak rządy tych państw, nie mających ani olbrzymich bogactw u siebie, ani imperialnego stanu posiadania, wydobyły ze swoich ludzi siły moralne, umożliwiające prowadzenie mocarstwowej polityki.

Nie trzeba zresztą nikogo przekonywać o potrzebie jednoczenia się ludzi; w każdym języku mamy na ten temat po kilka przysłów i setki złotych myśli. Tylko teraz sprawa ta staje się u nas coraz pilniejsza. Na razie mamy spokój ze strony Niemiec, i Hitler zapewnia nas o swych pokojowych względem Polski zamiarach.

S k o n f i s k o w a n o

Jeżeli o zjednoczeniu tak wiele się oddawna mówi, a tego zjednoczenia wciąż jeszcze nie ma, to nie dla tego, żeby sama idea nie była popularna. Przyczyny leżą w stosunkach politycznych w Polsce; nie wystarczy popularyzować ideę zjednoczenia, trzeba te stosunki przekształcić.

Roman Dmowski w „Polityce Polskiej" napisał, iż nie dlatego zdobyliśmy niepodległość, że ktoś opowiedział się głośno za niepodległością, ale dla tego, że naród wykazał dojrzałość polityczną, i znaleźli się ludzie, którzy zorganizowali społeczeństwo i poprowadzili polską politykę. To samo, zmieniając „niepodległość" na zjednoczenie — dało by się powiedzieć o czasach dzisiejszych.

Zjednoczenie polityczne musi oprzeć się na związkach między ludźmi trwalszych: przyrodzonych i kulturalnych. Musi być zgodne z historycznemi dążeniami zbiorowisk ludzkich w państwie. Musi objąć tych, którzy w głębi dusz, instynktami — już są ze sobą w trwałą, dziejową społeczność powiązani. Rząd niemiecki, który się z tem liczy, jednoczy swój naród poprzez granice państw, wbrew woli mocarstw. Inne rządy, które się z tem liczyć nie umieją, czy też nie chcą — nie potrafią zjednoczyć narodu nawet w granicach swojego państwa.

Można rządzić na modłę rządów Wielkiej Brytanii w dużych koloniach, np. w Indiach, to znaczy przy pomocy silnej administracji, a w rezerwie — wojska, popierając raz ten drugi raz inny szczep tubylców tylko na tyle, aby utrzymać wewnętrzną równowagę polityczną. Oprócz tego wysuwa się ideał współpracy z rządem dla państwa, forsując tę współpracę różnemi sposobami. Taki system paraliżuje siłę polityczną społeczności etnicznych i wyznaniowych, dzieląc każdą na dwa zwalczające się odłamy, i na „współpracujących" i na opozycjonistów.

Dziś w Europie, kiedy rośnie oświata i wyrobienie polityczne szerokich mas, kiedy coraz trudniej ludzi oszukiwać i hamować ich dążenia narodowe, nawet w Czechosłowacji, zbudowanej według koncepcji wersalskiej, trzeba było zastosować bardziej nowoczesne sposoby rządzenia. W tej Czechosłowacji, w której „mniejszości" stanowią większość, prowadzono otwarcie i bezwzględnie politykę czeską. Inna rzecz, że Czesi musieli borykać się z wielkiemi trudnościami, właśnie z powodu „obdarzenia" ich ponad siły — terytoriami z obcą ludnością, — i że popełniali grube polityczne błędy.

Jakiekolwiek zresztą można mieć wątpliwości co do nacjonalizmu Czechów, ich ustroju państwowego i polityki, jedno jest pewne: w Europie wciąż postępuje konsolidacja narodów, zwłaszcza mających własne państwa, w Europie rośnie nacjonalizm. Niemcy rozumieją, że dążenia te są powszechne i że stanowią realną siłę. To też za najlepszy sposób osłabienia Polski uważają popieranie irredenty ukraińskiej.

Gdyby do nas przyjechał jakiś bezstronny oświecony Europejczyk, i był upoważniony do wypowiedzenia swego poglądu, musiał by stwierdzić, bo są to rzeczy na Zachodzie oczywiste, że siła państwa opiera się na sile jego panującego narodu. O ileż oczywistsza jest ta sprawa dla nas, którzy żywimy tradycję panowania polskiego w Europie środkowej, którzyśmy sobie to państwo wywalczyli i odbudowali i stanowimy jedyną społeczność, której zależy na jego rozwoju. Stwierdzamy raz jeszcze te prawdy tak jasne i proste, ponieważ działalność państwa naszego opierała się przez długi czas na zupełnie innych zasadach.

Powiedzieliśmy, że konsolidacja polityczna musi się liczyć z trwałemi związkami społecznemi, że musi być oparta na polskiem społeczeństwie, że musi być narzędziem polskich interesów i dążeń.

Takie przekonanie wyznaje, albo przynajmiej żywi w instynktach olbrzymia większość Polaków. Głównym ośrodkiem krystalizacyjnym tych przekonań, głównym organizatorem i budzicielem tych dążeń był i jest najpotężniejszy polski obóz polityczny — Stronnictwo Narodowe.

Trzeba także odwołać się do najprostszego, najbardziej podstawowego obowiązku obywatelskiego, jakim jest obrona państwa. Tworzenie sił zbrojnych państwa, wzmaganie jego obronności wymaga zjednoczonego wysiłku całego narodu. Tutaj ośrodkiem krystalizacyjnym jest wojsko.

Trzecim podstawowym czynnikiem zjednoczenia będzie chrystianizm z Kościołem Katolickim na czele.

Nie można konsolidować narodu, pomijając którykolwiek z tych trzech, najważniejszych w obecnem życiu Polski czynników. Mamy dziś próby jednoczenia wbrew Kościołowi i armii (Front Ludowy), albo wbrew Str. Narodowemu i z rezerwą wobec Kościoła. Ci ostatni zwłaszcza szermują głośno hasłem zjednoczenia, ale ich działalność polityczna niezupełnie odpowiada interesom życiowym mas polskich i dążeniom dziejowym narodu.

TADEUSZ DWORAK

NA POLSKIM WOŁYNIU

WYDANA w roku ubiegłym i skonfiskowana przez władze broszura hr. Stanisława Krasickiego p. t. „Polityka wojewody Józewskiego na Wołyniu w świetle cyfr i faktów", dostarczy nam wiele sensacyjnego materiału. Autora broszury oskarżono w swoim czasie z artykułu 127 k. k., mówiącego o zniewadze władz i z art. 170 — o rozpowszechnianie fałszywych wiadomości, mogących wywołać niepokój publiczny. Sąd jednak zdjął konfiskatę, a postępowanie karne umorzono, wobec czego możemy swobodnie zajrzeć do arcyciekawej tej książeczki, na której kartkach prezentuje się w całej okazałości przed czytelnikiem smutnej pamięci wojewoda wołyński, którego 11-letnie tam panowanie może być uważane za okres klęskowy dla polskości na Kresach wschodnich.

Zagadnienie Wołynia winno być ujmowane szeroko i w rozległej skali, w skali Wielkiej Polski. Ten wymiar narzucił w myśleniu politycznem współczesnemu pokoleniu Roman Dmowski. Dziś nie podobna już, bez utraty zdrowego sensu—chyba jedynie wbrew samej oczywistości, — operować kategoriami cząstkowemi, małemi wycinkami dziejów, w dodatku lokalnych.

Nie wolno także powodować się romantyzmem w polityce, ponieważ to kosztuje, w rachunku narodowym i dziejowym, setki nieraz i tysiące istnień ludzkich, nie licząc już innych strat. Tylko akcje należycie usprawiedliwione interesem narodowym mogą liczyć na wdzięczne uznanie u potomności. Nieprzemyślane improwizacje posłużą jedynie za materiał literacki różnego kalibru rapsodom, których powołaniem bywa zazwyczaj słodzić gorycz i poniżenie klęski.

Znaczenie Wołynia dla polskiej polityki kresowej sprowadza się w gruncie do pytania, czy Polska będzie mocno siedzieć w siodle na międzymorzu czarnomorsko-bałtyckiem? Jeśli żywi te wielko-imperialistyczne ambicje dziejowe, winna dołożyć wszystkich sił dla zwiększenia stanu swego posiadania na tym szlaku historycznym. I taki jest program wielkiej polityki.

Politycy mali, doraźni kombinatorzy, specjaliści od gierek i chwytów w rozgrywkach gabinetowych, nie potrafią docenić wagi tego zagadnienia. Nie porwie ich skala wydarzeń, wciągających Polskę w wir spraw, co przekraczają bliskie opłotki.

Brak im wyobraźni dziejowej; ich dusze są

małe, ciasne; ojczyzna widzi im się jako symbol jedynie, znak widomy, wyłącznie godło państwowe. Podwójne mają widzenie wewnętrzne: jedna natury połowa stroi się w splendor jagielloński albo wsłuchuje w pieśni powstańcze—z natchnienia drugiej lękliwie tłumaczą oni fakt własnego istnienia, drugorzędnego podmiotu dziejów, przed obcymi na forum międzynarodowem lub w kraju wobec mniejszości. Żadna z tych sztucznie rozdzielonych połów nie myśli całością — bo nie potrafi już zresztą—i za całość, po gospodarsku, nie po arendarsku.

Książka hr. Krasickiego przynosi rewelacyjne dane, potwierdzające w całej pełni, w sposób najbardziej miarodajny, głuche wieści, przedostające się do środka Polski z terenów objętych podziemną walką żywiołów t. zw. ukraińskich z polskością.

Autor stwierdza na podstawie konkretnych przykładów z życia, że polska oficjalna polityka mniejszościowa i jej narzędzie, administracja lokalna w wielu wypadkach szły na rękę tym odśrodkowym i antypaństwowym działaniom.

Powiedzmy szczerze, taki np. spis ludności z r. 1931 był narzędziem uświadomienia ukraińskiego na ziemiach wschodnich.

Do tego celu posłużyły specjalnie zredagowane pytania w kwestionarjuszach spisowych, mające masom ludności z Kresów wschodnich, narodowo nieuświadomionym, zaszczepić świadomość przynależności do narodu ukraińskiego.

Tak więc, w arkuszach spisowych figurowały pytania nie o narodowość, jak w pierwszym spisie, lecz o „język ojczysty". Przyczem definicja języka ojczystego na tymże arkuszu brzmiała: „Jako język ojczysty należy wpisać język. który dana osoba uważa za najbardziej bliski sobie."

Punkt wyjścia i pogląd w tej materii Gen. Kom. Spis. wyglądał następująco:

„Zastępując pytanie o narodowość pytaniem o język ojczysty w znaczeniu języka najbardziej bliskiego osobie zapytywanej, czyni się zatem zadość wymaganiom statystyki narodowościowej, według których decyzja co do narodowości poszczególnej osoby powinna być złożona w jej własne ręce". (Sprawy Narodowościowe, r. 1938, zesz. 1).

A dalej w owym wywiadzie dla Spraw Nar. d-r Buławski tak zeznaje:

„...I tak przetłumaczono wyraz „język ojczysty" na formularzu polsko-ukraińskim jako „*ridna mowa*", na formularzu polsko-białoruskim „*baćkawśkaja mowa*",... zwracam uwagę, że formułując pytanie odnośne na formularzu spisowym, nie poprzestano na samym tytule rubryki „język ojczysty", jak to przeważnie czynią inne państwa, lecz w nagłówku wymieniono wszystkie najczęściej spotykane na ziemiach polskich języki. Odnośna rubryka brzmiała: „język ojczysty polski, ukraiński (ruski), żydowski, białoruski, niemiecki, litewski, rosyjski, lub jaki inny" (*ibid*).

W tej formie przytem, złączenia przez Komisarza głównego okręgów wyborczych w woj.: lwowskiem, stanisławowskiem, tarnopolskiem, wołyńskiem, poleskiem i w chełmszczyźnie w jedną całość, akcja spisowa przybrała charakter usankcjonowania przez państwo polskie roszczeń ukraińskich do ziem wymienionych powyżej.

Oficjalnie nie uznano na ziemiach Polski narodowości „ruskiej", a jedynie ukraińską—zgodnie z ukraińską propagandą odśrodkową.

O założeniach polityki woj. Józewskiego wyraża się p. Krasicki sarkastycznie:

„O ile można wyciągać wnioski z działalności Pana Wojewody Józewskiego na Wołyniu, ma się wrażenie, że Pan Wojewoda jako dawny członek rządu Ukrainy kijowskiej nie zorientował się w nowej sytuacji i ulega nadal psychice wspomnień lat górnej i chmurnej przeszłości... zmieniając polski, względnie narodowo-bezpłciowy charakter Wołynia w Ukrainę wrogą Polsce" (str. 68).

Gdy obejmował w 1926 r. urzędowanie, wypowiadał się z goryczą, że na Wołyniu brak jednak Ukraińców i nie ma mowy o stworzeniu tu dla nich państwa. Wobec czego radził sobie w ten sposób, że sprowadzał z najdalszych kątów rozproszonych po świecie emigrantów z kijowskiej Ukrainy. Musiał im ukazywać nielada polityczne ponęty, skoro np. taki rektor uniwersytetu z Podjebradu rzucił swoje wysokie stanowisko i przyjechał objąć zgoła podrzędną posadkę w wojewódzkim samorządzie... Oczywiście ci *ad hoc* importowani ukraińcy wchodzą odrazu na gruncie polskim w ukartowaną zgóry rolę prowodyrów ruchu. Stają na czele takich organizacyj politycznych i „kulturalnych", głoszących hasła ukraińskiej racji stanu, jak Wołyńskie Ukraińskie *Objednanie* (W.U.O), albo zakładają kluby społeczno-kulturalne, „*Ridne Chaty*" i „*Proświtańskie Chaty*", na terenie całego Wołynia.

Przy pomocy osobnych stowarzyszeń religijnych ukrainizuje się cerkiew prawosławną na Wołyniu.

Osobnej wzmianki domaga się opiekuńcza względem ukrainizmu działalność naszej administracji na polu czasopiśmiennictwa (subwencjonowana przez woj. Józewskiego „Ukraińska Niwa", nazywająca się teraz „Wołyńskiem Słowem") albo teatru regionalnego.

W Łucku zostaje założony teatr ukraiński. Subwencjonuje go samorząd gminny wiejski. (uwidoczniona w budżecie kwota zł. 100, brak jej po stronie wydatków na rzecz polskiego teatru).

Akcji forytowania przez p. wojewodę wołyńskiego ukraińskich stowarzyszeń nie powstrzymały w niczem liczne, dziś już historyczne rozprawy sądowe, podczas którysh ujawniono ich antypaństwowy, często terrorystyczny charakter... Procesy „Ukraińskiego Narodowego Kozackiego Ruchu" w pow. Horochowskim, terrorystów ukraińskich z r. 1936 w Kowlu, w Równem w styczniu 1937 r., po wykryciu zwartej grupy terrorystów w O.U.N. w pow. kostopolskim (pozostających jak stwierdzono, w bliskim kontakcie z legalnemi organizacjami, zawiązanemi przez woj. Józefskiego).

Tak wyglądała (w pobieżnym skrócie) szkodliwa dla polskiej racji stanu i dla Wołynia działalność wojewody wołyńskiego na wzmiankowanym terenie.

Z jednej więc strony, oburzające każdego prawego, o niewypaczonej wyobraźni Polaka, wspieranie i utwierdzanie w oporze krnąbrnej mniejszości na kresach wschodnich. Z drugiej... W tem miejscu może wystarczyłoby przeczytać dwie dość długie nowele Marii Rodziewiczówny: „Niedobitowski z granicznego bastionu i „u Niedobitowskich..." (obydwie, powtórnie w r. b. wydane, weszły w skład tomu utworów głośnej autorki pod ogólnym tytułem „Róża panny Róży",

Poznań u Wegnera). Obrazują one stosunki kresowe na Polesiu i Wołyniu zaraz po odzyskaniu niepodległości. Jak ulał jednak, pasują do przygnębiającej spuścizny niesławnej pamięci wojewody wołyńskiego. Wierzyć się nie chce, żeby się kiedykolwiek tak obchodzono z żywiołem rdzennym w państwie polskiem. A jednak, wbrew naszemu nieuleczalnemu optymizmowi, obraz w niczem nie został przeretuszowany. Polskość aż do ustąpienia p. Józewskiego była tam notorycznie i systematycznie tępiona, a polskie zrzeszenia społeczne—prześladowane.

Wystarczy tu przypomnieć skandaliczną aferę „Towarzystwa Domu Polskiego" w Łucku, wywłaszczonego z własnego gmachu przez posłuszny panu wojewodzie Zarząd miejski. Z gmachu, wybudowanego za polskie pieniądze, a przekazanego Ukraińcom. Przy pomocy nakazanej zmiany statutu, w tym duchu, że odtąd

„Członkiem Tow. może być każde legalnie istniejące stowarzyszenie na terenie woj. wołyńskiego o charakterze społecznym, kulturalnym, oświatowym, sportowym lub zawodowym, które zostanie przez zarząd Towarzystwa przyjęte zgodnie z postanowieniami niniejszego statutu i wpłaci tytułem wpisowego kwotę 100 zł."

a nie, jak opiewał poprzedni tekst

„Członkiem Tow. może być każdy własnowolny Polak lub Polka albo każde stowarzyszenie o charakterze społecznym, spółdzielczo-kredytowym i ekonomicznym".

Albo historia polskiego „Wołyńskiego Tow. Rolniczego", połączonego w r. 1928 pod presją wojewody z narodowościowem, mieszanem polsko-ukraińskiem „Tow. Organizacji Kółek Rolniczych".

Fuzja ta stała się, dzięki przewadze Ukraińców w nowej kompozycji, równoznaczną z całkowitą likwidacją polskiej organizacji rolniczej i przejściem jej wraz z całym majątkiem w ręce Ukraińców. Podobnych przykładów możnaby mnożyć, tylko miejsca brak.

Sytuacja zaś jest taka, że polskość domaga się na Wołyniu gwałtownego poratowania. W świetle stosunków agrarnych rzecz tak wygląda, że pomiędzy rokiem 1913 i 1937 rozparcelowano tam 713.383 ha, z czego na większą własność polską przypada 267.058, a więc o 270 prc. mniej w stosunku do areału większej własności polskiej wedle danych z r. 1913.

Co gorsza zaś, owo 270-procentowe umniejszenie się majątków polskich nie znajduje rekompensaty we wzmocnieniu żywiołu polskiego na Wołyniu poprzez osadnictwo. Bardzo radykalna reforma rolna, wprowadzana w czyn przez władze woj. wołyńskiego, zredukowała większą własność z 1.223.949 ha do 510.566 ha, t. j. o 713.383 ha, w czem większą własność polską zmniejszyła o 267.958 ha. A teraz, w proporcji do tych cyfr olbrzymich—osadnictwo wojskowe nabyło działek o ogólnym obszarze 18.000 ha, osadnictwo cywilne polskie—34.175 ha, co razem wyniosło znikomą jak na te stosunki liczbę 52.175 ha. Gdzież tutaj równowaga?—pytamy.

O „*prestige*'u" w oczach tubylców, o jaki „starały się" dla państwa polskiego władze wojewódzkie na Wołyniu, wymownie opowiada hr. Krasicki, dając epizod przysłowiowej „dziury w moście", z którą „sprężysta" administracja ani rusz nie potrafiła się uporać.

Oto, co tam czytamy:

„W latach 1928—1930 zarząd miejski Łucka pod presją władz wojewódzkich przeprowadza wał nadrzeczny kosztem miliona złotych, celem osuszenia łąk położonych między Styrem a gmachem Urzędu Wojewódzkiego. Efekt tego wału był żaden, oprócz długu w wysokości miliona, który zaciążył na finansach miejskich, doprowadzając je do bankructwa. W r. 1932 wylew zrywa most łączący duże przedmieście Hnidawę z miastem.

Przez dwa lata na oczach władz miejskich, wojewódzkich odbywały się przeprawy ludności, dzieci szkolnych przez błota a potem łódką przez Styr. Warunki towarzyszące temu brodzeniu i tym przeprawom przez Styr urągały najelementarniejszym warunkom bezpieczeństwa publicznego.

Nieprawdopodobna inercja władz wojewódzkich pozwoliła, aby przez dwa lata ludność miejscowa najgorszemi wyzwiskami obrzucała nasze władze reprezentujące Najjaśniejszą Rzeczpospolitą a więc ją samą. Dopiero w r. 1934 kosztem zaledwie 18.000 zł. wybudowano most. Jeżeli można mówić o robocie wywrotowej, o agitacji antypaństwowej, to z całą pewnością typowym tego przykładem było zachowanie się władz wojewódzkich w przytoczonym wypadku (str. 88/9).

S k o n f i s k o w a n o

RADWAN

POCZĄTKI EUROPY

(C. dalszy)

WYKŁAD ROMANA DMOWSKIEGO WYGŁOSZONY DN. 20 MARCA 1930 R. (WEDŁUG ZAPISKÓW STEN.)

PRZED stu laty idealnemi źródłami dla odleglejszej przeszłości byli dla nas właśnie historycy greccy z bezkrytycznie pozbieranemi legendami o starych dziejach. To były jedyne księgi dla studiowania odleglejszej rzeczywistości. Od stu lat jednak zaczynają się kolosalne odkrycia w dziedzinie egiptologii, assyriologii; znajdujemy całe mnóstwo pomników, papyrusów, cegiełek z pismem klinowem, które odczytuje się dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, że znaleziono w r. 1799 potrójny napis na kamieniu z Rozety, gdzie do hieroglifów było komentarzem pismo klinowe i grecki tekst. Z drugiej strony do pisma klinowego znajdujemy napis znany Dariusza, znów potrójny, który pozwolił odczytać pismo klinowe.

Otóż na podstawie tych badań dokumentów z Egiptu i Mezopotamii posunęliśmy w ostatnich czasach historię pisaną, pewną, na dokumentach opartą, tak daleko, że wobec tego już klasyczna Grecja jest historią nowożytną.

W tę odległą przeszłość nie będziemy sięgali, bo Europa tak odległej przeszłości nie ma, ale sięgnijmy jednak tyle, ile nam potrzeba, aby zobaczyć, czy rzeczywiście ta Grecja, kolebka naszej cywilizacji, wzięła się tak z niczego, że to był taki cud? Otóż dziś żyjemy w roku Pańskim 1930. Zapytajmy siebie, co się działo w cywilizowanym świecie w roku mniej więcej 1930 czy też 2000 przed Chrystusem? Ja umyślnie tak zestawiam, bo to łatwiej pamiętać — tyleż lat przed Chrystusem, ile dziś jest po Chrystusie.

W owych czasach były dwa wielkie ogniska cywilizacji: najprzód Mezopotamia i potem Egipt, który mniej więcej na 2000 lat przed Chrystusem znajdował się u szczytu swego rozwoju cywilizacyjnego. Na historię Egiptu składają się 3300 lat mniejwięcej — to już jest dziś data ustalona. Od tego roku zaczyna się ciągła jednolita historia egipska. Zjednoczenia dokonała w r. 3427 przed Chr. monarchja memficka, w której czwarta dynastia jest właśnie twórczynią tej wielkiej tyranii słynnej później; Dolny Egipt, Górny i Teby bierze dynastia memficka. Wreszcie na 2200 lat przed Chrystusem zapanuje dynastia tebańska, która daje najsilniejszy rozkwit. Jest to dynastia 11 i 12, zwłaszcza dynastia 12 to jost okres klasycyzmu egipskiego, rozwój organizacji państwa, rozwój sztuki, literatury do najwyższego szczytu. Już nigdy Egipt, jak nigdy przedtem, tak i nigdy potem, nie dosięgnął tego poziomu. To był szczyt rozwoju cywilizacji, przypadający na panowanie dynastii 11 i 12-ej.

W tym samym mniej więcej czasie w Babilonie siedzi Hammurabi, którego imię powinno być Państwu znane, bo to niegdyś hałasu narobiło wielkiego odkrycie kodeksu Hammurabiego. Najpierw początki cywilizacji na zboczach gór, nad Zatoką Perską w kraju Sennar. Jednak to krótko trwa. Powstaje wielka cywilizacja sumeryjska — lud Sumerów w dolnej części Tygrysu i Eufratu mieszkający — wtedy Tygrys i Eufrat osobno wpadają do morza. Ta cywilizacja sumeryjska bardzo prędko poszła naprzód. W r. 1802 znaleziono tabliczki, język został odczytany, wiemy, jacy byli władcy i t. d. Jednakże wkrótce znajdują oni przeciwnika, ludzi, którzy w górze rzeki mieszkają, naród Semitów, który na pewien czas ich podbija. Potem znów Sumer bierze górę. W końcu zjawia się Semita z górnej Syrii, z kraju, który się nazywał Mezopotamia, Hammurabi, który tworzy królestwo babilońskie, podbija. Kodeks Hammurabiego jest to dokument niesłychanie wykończony, prawie dający całkowity obraz stosunków społeczno-gospodarczych, wszelkiego rodzaju umów. Widać już wysoko posuniętą cywilizację, gospodarcze stosunki bardzo wykończone, sztuka, literatura, poematy, epopee tak zwane. To jest Mezopotamia. Muszę dodać, że kodeks Hammurabiego to jest właściwie wytwór cywilizacji sumeryjskiej. Hammurabi właściwie skodyfikował to, co przez tysiąclecia zrobiła cywilizacja sumeryjska. Cywilizacja ta rozszerzyła się bardzo w całej Azji mniejszej i rozszerza się coraz bardziej na Semitów, na północ od pustyni Arabskiej poczynając, a kończąc na brzegach morza Śródziemnego, które z początku są nie semickie zupełnie, zaludnione rasą bardzo podobną do śródziemnomorskiej, a później napływają Semici, mieszają się z mieszkańcami tutejszymi i wytwarzają taką rasę mieszaną w tym kraju, który później nazwał się Palestyną. Tak się przedstawia ten świat.

Co w tym czasie wiadomo o Europie? Właściwie nic. Europa jest jeszcze wtedy krajem nieznanym. Jednakże w dokumentach już spotykamy wiadomości o wyspie, o kraju, otoczonym morzem z wszystkich stron, który się nazywa Kefti. O tym Kefti powiadają, że ich książęta przyjeżdżają, przywożą faraonom piękne wazy. Na grobowcach faraonów i wielkich panów egipskich spotykamy (tego ślady). A więc już 2000 lat temu wiemy, że jednak tu, w Europie już, przynajmniej na wyspie Krecie, było jakieś ognisko cywilizacji, bo oni stąd przywozili do Egiptu i piękne wazy i piękne wyroby złotnicze, później piękne bronzy, i dostarczali Egiptowi w dużych ilościach wina i innych swoich produktów rolniczych. Tak się przedstawiał świat na 2000 lat przed Chrystusem.

Właśnie w tym czasie następuje w tym świecie cywilizowanym olbrzymia katastrofa. Cały ten świat zostaje wstrząśnięty. Co się stało? Oto w r. 1925 przed Chrystusem, z gór Zagros schodzą najeźdźcy, których dokumenty babilońskie nazywają Kaszytami i spadają na Babilon, burzą go i t, d., później się wycofują. To się dzieje za następcy Hammurabiego — Samsu-iluny (1912—1875). Wkrótce potem na ten sam Babilon znowu spadają drudzy najeźdzcy, burzą Babilon, rabują, niszczą kraj. Ci się nazywają Hetyci w Starym Testamencie, według dokumentów badanych nazywali się „mężowie kraju Hatti". Wreszcie trzeci najazd przychodzi, znowu tych Kaszytów z gór, którzy niszczą monarchię babilońską i zapanowują tam. Ci, wycofawszy się po tym najeździe, tworzą wielkie państwo („Kraju Nadmorskiego").

Te dwa ludy: Kaszyci i Hetyci — są bardzo ciekawe i ich zjawienie się w historii ogromnie się wiąże nawet z naszą historią, jako z historią pewnego gatunku ludzi. Mianowicie w ostatnich czasach badania języka hetyckiego, który jest już

znany, bo zostały odkryte całe archiwa, pisane pismem klinowem i hetyckiem, w języku assyryjskim i hetyckim, badania jęz. hetyckiego oraz imion własnych, imion bóstw hetyckich i Kaszytów, o których zresztą bardzo mało jeszcze wiemy, wykazują pierwiastki indo-europejskie, aryjskie, nie, żeby język był aryjski, tylko, że na tych językach widać wpływy aryjskie i wniosek z tego się wyprowadza, że to były ludy, na które wsiedli aryjczycy, indo-europejczycy i stali się arystokracją, warstwą rządową i poprowadzili ich do tych najazdów. Jest to pierwsze zjawienie się w dziejach indo-europejczyków, aryjczyków, których językami my mówimy, do których należy język polski. Dlatego o tej chwili dziejowej mówię.

Cóż się okazuje dalej? Badania wskazują, że jednocześnie, w tym samym czasie indo-europejczycy zjawili się i w Europie. A więc jednocześnie zjawili się tu, w Azji Mniejszej, do której prawdopodobnie przyszli tędy (wskazuje na mapie). Do Mezopotamii z gór przychodzą, czyli, że na tej całej linii wszędzie z północy spadli indo-europejczycy naraz, mniej więcej na 2000 lat przed Chrystusem. A cóż jest tu? Od gór karpackich, na północ od morza Egejskiego aż do Bajkału ciągnie się nieprzerwana równina. Ojcowie nasi, w części przynajmniej, którzy języki nasze przynieśli do Europy, spadli na południe od stepów. Badacze zamierzchłej przeszłości objaśniają to w ten sposób, że musiała nastąpić jakaś wielka susza, która ich zmusiła do wyruszenia ze stepów, na których koczowali. Może to i tak jest, ale i bez tego można to objaśnić. O kilkaset lat wcześniej oni musieli oswoić konia, bo pierwsi, którzy się na świecie pokazali z koniem oswojonym, to byli Hetyci. Ci mieszkańcy stepów oswoili sobie konia, a z koniem zdobyli środek szybkiej komunikacji. Do owych ludów koń to było to, co dla nas aeroplan pod względem szybkości, bo gdzież porównać konia z wołem, którego przedtem używano jako jedynego środka komunikacji. Oni więc oswoili konia, t. zn. indo-europejczycy oswoili konia i używali go nie do wierzchu, tylko jako zwierzę pociągowe. Stanowi to już dużą różnicę z wołem, zwłaszcza, że oni zaczęli odrazu używać wozu. Dlatego tak im się udawały ich najazdy, bo oni walczyli wozem, zaprzężonym w konia, przeciw pieszym. To było tak, jak dzisiaj dostać nowy gatunek broni. Więc, jak dostali konia, mieli pobudkę do posuwania się naprzód, t. j. mieli środki, dające im możność posuwania się naprzód, bo pobudka była inna. Jakkolwiek profesorowie mówią, że te ludy szły do innych krajów dla pięknego krajobrazu, to jednak ludzie przedewszystkiem ciągną po chleb i po bogactwo. Otóż lud, który tu siedział na stepach, niewiadomo, na jakiej szerokości i dochodziły go wiadomości o tych cywilizacjach, otrzymywał ich wyroby przemysłowe, a oni posyłali swoje wyroby bardzo daleko.

Przecież na naszych ziemiach polskich, w wykopaliskach przedhistorycznych spotyka się posążki Izydy egipskiej, z tego widać, jak daleko te przedmioty handlu szły, — otóż do nich dochodziły te wyroby ich przemysłów, które budziły w nich podziw i łakomstwo, a jednocześnie, co jest zrozumiałe, — dążność do dobrania się bliżej do źródła tych rzeczy. Przecież człowiek dawniejszy jest przedewszystkiem rabusiem. Dziś jest więcej wojownikiem, dawniej był więcej rabusiem. Jeden taki wojownik stepów spotkał raz nieprzyjaciela, który miał dłuższy od niego miecz i sięgał go lepiej, a to dlatego, że był wyrobiony nie z miedzi, a z bronzu, z metalu twardszego od miedzi, wówczas on nie spoczął, póki takiej broni nię zdobył. Jeśli żona tego wojownika zobaczyła u żony innego wojownika piękną bransoletę i naszyjnik, to mogą Panie być spokojne, że ona nie spała, póki takiej nie dostała. I to jest źródło tych wędrówek ku bogactwu. Naturalnie, póki państwo cywilizowane jest potężne, umie się bronić wyższemi środkami broni, lepszą organizacją, trzyma ich w odległości, ale jak się ono trochę zdemoralizuje, osłabnie, rozluźnią się obyczaje, to ten barbarzyńca bardzo dobrze się orientuje, że ma łatwą zdobycz, i wpada, rabuje, wywozi, albo osiada na miejscu i zapanowuje. Tak się przedstawia ta katastrofa, ale ta katastrofa miała jeszcze dalsze repetycje, bo Hetyci stworzyli sobie państwo, wpadli ku południowi i wyparli tam z ich siedzib Hyksosów, pasterskich semitów. Ci napadli na Egipt. Dla Egiptu przyszło 500 lat obcego panowania t. zw. Hyksosów. Niewątpliwie to byli koczownicy syryjscy. Historyk późniejszy nazywa ich królami-pastuchami. Ci Hyksosi zapanowali w Egipcie na 500 lat. To było w r. 1650 przed Chrystusem. Może będzie to Państwa interesowało, że to właśnie za panowania tych Hyksosów żydzi przyszli do Egiptu, że to nie Faraon ich przyjął, tylko najeźdźcy ich sprowadzili, żeby im pomagali uciskać Egipcjan.

*

Naturalnie musi nas interesować, co to byli ci indo-europejczycy pierwotni. W tym względzie posunięto ogromnie szeroko badania. Powstała nauka, którą nazwano paleontologią językową. Mianowicie, jeśli weźmiemy, dajmy na to, wyraz „pszczoła”, to znajdziemy ten wyraz w różnych językach indo-europejskich, do tej rodziny, grupy, należących, z tego samego pierwiastka pochodzących. Z tego się wyprowadza wniosek, że prastarej rasie indo-europejskiej, zanim się rozpadła na poszczególne szczepy, pszczoła była znana. Jeśli weźmiemy wyraz „brzoza”, znany we wszystkich indo-europejskich językach, wyciągniemy wniosek, że w krajach tych, zanim się podzieliły między szczepy, rosła brzoza. Te badania doprowadziły do wielu bardzo ciekawych wniosków. Nie będę o nich tu mówił, bo znowu nie chcę za wiele czasu zabierać, tylko powiem, że na podstawie tych badań ustalono, że ci pra-aryjczycy, najdawniejsi indo-europejczycy, mieli ustrój patriarchalny, niesłychanie mocny. Między innemi dowodzi tego fakt, że w językach indo-europejskich pokrewieństwa po stronie ojca są niesłychanie skomplikowane co do ilości terminów, tymczasem, gdy chodzi o pokrewieństwo matki, to już jest zamęt.

Ten ustrój patriarchalny indo-europejczyków dawał im niezmiernie mocną organizację. Z drugiej strony pochodził on, zdaje się, stąd, że byli koczownikami. W ostatnich czasach ustaliła się w nauce o społeczeństwie opinia, że ustrój patriarchalny, patriarchat, to jest wytwór bytu koczowniczego, rozbójniczego. Potrzebna jest siła, władza wodza i ona w tym właśnie bycie uzależnia zupełnie od siebie. Ja muszę zwrócić uwagę na jeden fakt, który nie jest dosyć jasny, mianowicie, że mylą się ci, którzy przypuszczają,

że najpierwszą organizacją społeczną jest rodzina. Nie. Rodzina taka, jak my ją rozumiemy, t. j. złożona z ojca, matki i dzieci, które są dziećmi nietylko matki, ale i ojca, to jest instytucja stosunkowo późna. O wiele dawniejszym niż rodzina jest ród. Ten ród u ludów siedzących na jednem miejscu, odciętych, trochę izolowanych, jak zbadano przed paru dziesiątkami lat u najmniej rozwiniętych plemion w Australii, północno-zachodniej Ameryce, w Kanadzie, Indiach, t. zw. *lieux d'autorité*, przedstawia się w ten sposób, że tam dziecko nie należy do rodu ojca, tylko do rodu matki i dzieci jednej matki pochodzą często od różnych ojców. Tę instytucję nazwali niektórzy socjologowie matriarchatem, zupełnie fałszywie, dlatego, że to dziecko nie było pod władzą matki, — ono nie było pod władzą ojca, bo należało do matki, ale nie było pod władzą matki, tylko pod władzą wuja, brata, bo władza należała zawsze do mężczyzny, dlatego matriarchatu nigdy nie było, a tylko był ten pierwotny ustrój, że dziecko należało do rodu matki, a nie ojca.

Otóż ludy ruchliwsze, koczownicze, rozbójnicze, według dzisiejszej opinii wytworzyły patriarchat, t. zn., że dziecko należy do rodu ojca. Matka razem z dzieckiem jest podwładna ojcu i przez ten ustrój patriarchalny koczownicy odegrali kolosalną rolę. Oni są właściwie założycielami wszystkich wielkich cywilizacyj, bo tylko oni umieli podbijać mnóstwo drobnych plemion i tworzyć z nich państwa, a tylko w wielkich państwach mogła wyrosnąć wielka cywilizacja. Czyli, że trzeba ludy koczownicze przywrócić do szacunku. Gdyby nie koczownicy, nie byłoby cywilizacji. W państwie ród rozkłada się zawsze. Rozkład bytu rodowego jest to nieunikniony skutek bytu państwowego. Przy rozkładzie rodu patriarchalnego powstawały patriarchalne rodziny, moc rodzin, które były podstawą bytu społeczeństwa. Przy rozkładzie zaś rodu, przy matriarchacie rodziny nie powstawały, przy matriarchacie takim, w którym dzieci były jednej matki, a różnych ojców. I to jest znaczenie patriarchatu w jego znaczeniu dziejowem, w ustroju społeczeństwa i wielkiej cywilizacji.

Zdaje się, że zanim się pokazali w Europie indo-europejczycy koczujący, Europa nie znała patrjarchatu. Są jeszcze dziś poważne ślady tego zwyczaju. Np. u Basków dotychczas istnieje zwyczaj, który się nazywa „*curado*", polega on na tem, że kobieta, porodziwszy dziecko, idzie do roboty, a mąż kładzie się do łóżka i stęka, żeby zaświadczyć przez to, że to jego dziecko. Niektórzy nawet ślady tego zwyczaju nad Renem znaleźli, tak, że wiele danych przemawia za tem, że cała pierwotna Europa, z tych ludów złożona, o których mówiłem poprzednio, przed znalezieniem się tych koczowników, którzy znaleźli konia i przynieśli ze sobą patriarchat, mieli ten pierwotny ustrój rodowy z władzą macierzyńską.

ROMAN DMOWSKI

(C. d. n.)

MIĘDZY KOŚCIOŁEM A LOŻĄ

DODATKOWE UWAGI O DWOISTEJ TEOZOFII BR. TRENTOWSKIEGO

POWODEM bezpośrednim uwag poniższych jest wycieczka polemiczna p. P. Chomicza w artykule „O wpływie Hoene-Wrońskiego na Trentowskiego" (M. N. r. b., nr. 38), zwrócona przeciwko konkluzji rozprawy mej „Dwoista teozofia Br. Trentowskiego". Celem ich zaś, poza repliką na bezzasadne zarzuty, jest rzucenie paru dalszych promyków światła na tamto ciemne i zaciemniane zagadnienie.

Zadaniem rozprawy było wykazanie rozbieżności w poglądach teologicznych i teozoficznych Trentowskiego, wygłoszonych raz w „Panteonie wiedzy ludzkiej", powtórnie w dziele niemieckim „*Die Freimaurerei*". W konkluzji zaznaczyłem, że w świetle ścisłej krytyki nie może się ostać twierdzenie W. Horodyskiego, jakoby Trentowski w ostatnich latach życia „przechylał się na stronę katolicyzmu, aż wreszcie uznał się katolikiem". Powiedziałem: „Rzeczywista prawda w tej sprawie leży na przeciwległym biegunie".

Wywody moje nie przekonały snać p. Ch. Orzeka bowiem krótko i węzłowato: „Słuszność znajduje się właśnie po stronie Horodyskiego". Orzeczenie apodyktyczne, — tylko czy aby się ostoi? Obawiać się należy, że p. Ch. stanął tu na straconej placówce.

Ze wspomnianej rozprawy wybrał on cztery punkty, w których poglądy Trentowskiego wyrażone w „Panteonie" i w „*Die Freimaurerei*" rozchodzą się między sobą diamentralnie; są to: nauka o palingenezie, o niebie i piekle, o grzechu pierworodnym, o naturze Chrystusa. Nie wszystkie to rozbieżności, ale rzeczywiście najważniejsze. W sprawach tych wygłaszał Trentowski sądy wręcz przeciwstawne. Jeśli w „Panteonie" tak, to w „*Die Freimaurerei*" nie, jeśli tam białe, tu czarne. Chrystus np. w „Panteonie" to „Bóg-człowiek, który z nami żył i cierpiał", poniósł śmierć krzyżową za ludzkość, w „*Die Freimaurerei*" natomiast to mit, „teurgiczny fabrykat", cześć jego to fetyszyzm. Słowem, poglądy teologiczne Trentowskiego wyłożone w „Panteonie" dałyby się od biedy zmieścić w obrębie chrześcijańskiego poglądu na świat, w „*Die Freimaurerei*" natomiast autor nie kryje się ze stanowiskiem w gruncie rzeczy antychrześcijańskiem, a zwłaszcza zaciekle antykatolickiem. Kościołowi katolickiemu przeciwstawia wolnomularstwo jako anty-kościół i przepowiada rychłe i decydujące zwycięstwo lóż. Tak to on „przechylał się" ku katolicyzmowi.

Zdanie o katolicyzmie Trentowskiego należałoby już raz na zawsze włożyć między bajki. Nie był on katolikiem ani z metryki, ani z przekonania; ani w dzieciństwie, ani za życia, ani przy śmierci. Podawał on się za katolika w Paryżu, gdy korzystał z zasiłków pieniężnych Wł. Zamoyskiego, ale z prawdą nie miało to nic wspólnego. Tłumaczył się wówczas przed Nakwaskim, że to tylko dla ułatwienia sobie dyskusji w roku 1843 wprowadził go był w błąd co do swego wyznania, skąd się rozeszła wieść o jego kalwinizmie, choć „kalwinem nigdy nie był i nie jest". Wiemy

atoli, że jeszcze w r. 1836, nic nie udając, w oficjalnem *Curriculum vitae* dla uniwersytetu fryburskiego pisał: „przyjąłem chrzest w Włocławku według nauki chrześcijańskiej zreformowanej przez Kalwina i tej religii byłem odtąd wyznawcą”. [1]) Wiemy dalej, że we Fryburgu zapisał się do gminy protestanckiej, duchowny ewangelicki też asystował przy jego pogrzebie. [2]) Za katolika więc — mówmy wyraźnie — podawał się Trentowski czas jakiś ze względów li oportunistycznych.

Może atoli p. Ch. rozumie, że Trentowski zostając kalwinem z metryki, przekonaniowo przechylał się ku katolicyzmowi i do niego się ostatecznie skłonił? Wobec wykazanej w mej rozprawie janusowości Trentowskiego możnaby takiego mniemania dowodzić: albo kwestionując sam fakt dwoistości jego poglądów, albo też przyjmując fakt, a tylko interpretując go tak, że filozof z dawnego stanowiska poza-chrześcijańskiego przeszedł ostatecznie na katolickie. P. Ch. próbuje obydwu tych dróg dowodu — z jednakowym skutkiem.

Jest więc zdania, że twierdzenie o dwoistej teozofii Trentowskiego jest moją tezą powziętą *a priori*, a popieraną przy pomocy metody podejrzanej, czy wprost nieuczciwej. Boć przecież nieuczciwością naukową jest przebierać argumenty, wysuwać dogodne a niewygodne przemilczać. Taki właśnie zarzut rzuca p. Ch. w moją stronę. A należałoby chyba oczekiwać, że autor, sam pracownik naukowy i nawykły pisać z rozmysłem, dobrze zważy ciężar i zasadność zarzutu, zanim go wysunie. Z przykrością stwierdzam, że to się nie stało.

Dowodem stronniczego jakoby uprzedzenia mego ma być fakt, że oparłem się na III t. „Panteonu” a pominąłem t. II. „Widzimy w tym w najlepszym razie (podkreślenie moje) cyklopizm, dogodny autorowi w przeprowadzeniu dowodu powziętej tezy”. Ja zaś w takim stawianiu sprawy muszę widzieć „w najlepszym razie“ lekkomyślność.

Sprawa zostawienia na boku tomu II „Panteonu“ tłumaczy się poprostu. Rozprawa traktuje o poglądach teozoficznych, a teozofia według klasyfikacji Trentowskiego wypełnia filozofii część I, potrosze i III, co wszystko pomieszczone zostało w III t. „Panteonu“. W t. II o teozofii cicho. Zapewne, w dziale socjalistyki, stanowiącym część I humanistyki, która wypełnia połowę t. II, jest tam ustęp o wolnomularstwie. Nie powołano się nań atoli w rozprawie. Bez premedytacji wszelako choć nie bez rozwagi. Mając do wyboru ustęp o 14 str. druku i dzieło o stronach blisko 400, za podstawę badania wybrano to drugie. Wybrano je zaś także i dlatego, że *„Die Freimaurerei”* pisana była dla „braci“, bez ogródek więc i bez zamilczeń; w „Panteonie“ tymczasem ustęp podany został jako wyznanie uzyskane rzekomo od jakiegoś anonimowego wolnomularza, uczynione dla „profanów“, a więc nie naruszające tajemnic lożowych. „Tajemnice właściwe,.. piastujące rzecz całą, nie zostaną nigdy da Bóg zdradzone“ — zapewnia rzekomy informator, a wyznanie swe kończy: „Podało ci się tu cele. Reszta li pomiędzy nami“. „Cyklopizmem“ zatem byłoby oprzeć się na wywodzie pobieżnym i cząstkowym, mając do dyspozycji szczegółowy i pełny. To chyba jasne.

Błędem metodycznym nazwaćby można pominięcie takie tylko wówczas, gdyby między rozdziałem w „Panteonie”, poświęconym wolnomularstwu, a dziełem niemieckim zachodziły różnice merytoryczne, gdyby światopogląd wolnomularski, w szczególności teozofia, został przedstawiony inaczej tu a inaczej tam. Jednakowoż nic podobnego. Tu i tam pisze się o wielkiej budowie wolnomularstwa w superlatywach. „Jest to jeden z najpiękniejszych, najstateczniejszych i najsilniejszych związków socjalistycznych, który rozszerzył się po całej ziemi” [3]) Co ważniejsza, w rzekomym referacie wolnomularza stanowisko wobec chrześcijaństwa i kościoła katolickiego zaznaczone zostało (oczywiście, z niedomówieniami) w sposób zupełnie taki sam, jak w *„Die Freimaurerei”*. Najwyraźniej Trentowski miał pogląd na te sprawy wyrobiony i ustalony oddawna. A więc przyznaje. że wolnomularstwo jest związkiem „czysto-religijnym”, atoli ponad-wyznaniowym, wspartym na deizmie; odrzuca naukę o odkupieniu, sakramenta, o organizacji kościoła katolickiego mówi z najwyższą indygnacją („ogłosili się za nieomylnych, zbawienie pojedyńczych ludzi i ludzkości całej wzięli w arendę wiekuistą” [4]), o naturze Chrystusa „wielkiego brata naszego”) wypowiada się wcale wyraźnie: była ludzka jak każdego z nas i każdy z nas może się stać „nowym Chrystusem“ [5]). Mógł zaś to wszystko spokojnie podać, udając, że umieszcza tylko wypowiedź cudzą.

Jest więc rzeczą dostatecznie chyba jasną, że nie dopuszczono się uchybienia metodycznego, omawiając teozofię wolnomularską Trentowskiego na podstawie dzieła niemieckiego a nie rozdziałku w II t. „Panteonu“. W ten sposób poglądy jego zostały przedstawione na podstawie należytej, bez jednostronnego uprzedzenia („cyklopizmu“).

Może zatem dwoistość ich tłumaczyć należy tak, że Trentowski odwrócił się z czasem od stanowiska rozwiniętego w *„Die Freimaurerei“*, wyrzekł się więc np. sądu o Chrystusie - fetyszu, a został przy zdaniu „Panteonu“ o Chrystusie-Odkupicielu? Coś podobnego możnaby wnosić ze słów p. Ch.; „jak o tym można przekonać się z chronologii dat ewolucji poglądów Trentowskiego“.

Niestety, z chronologii dat przekonać się można o czymś wręcz przeciwnym. Nie wiele kosztuje sprawdzić, że „Panteon“, pisany dobrze przed 1859, ukończony został w marcu 1861; w szczególności rozdział o teozofii powstał pod koniec 1860 roku. Natomiast *„Die Freimaurerei”* jest dziełem o ośm lat późniejszym, ukończona została na schyłku r. 1868. Jesteśmy w pełnym prawie uważać ją za ostatnie wyznanie wiary, za testament filozoficzny Trentowskiego. Doprawdy, nie jest to testament katolika ani nawet chrześcijanina. Kto podtrzymuje tezę Horodyskiego o katolicyzmie Trentowskiego, grzęźnie w grubej pomroce błędu.

P. Chomiczowi chodziło wszelako jeszcze o coś innego. Chciał stwierdzić, że Trentowski cenił wysoko Hoene-Wrońskiego i że ulegał jego wpływowi. Pierwsze jest prawdą, drugie hipotezą, jak dotąd wielce wątpliwą.

Rzeczywiście mówiąc o Hoene-Wrońskim, sy-

---

[1]) W. Horodyski, „Z życia filozofa”. Kraków 1914, s. 7.

[2]) Tamże, s. 17.

[3]) „Panteon”, II 128.

[4]) Tamże, II 137.

[5]) Tamże, II 138.

pie Trentowski superlatywami: „wielkość jego ma cechę potęgi najwyższej", „geniusz ten — coś nadziemskiego", stawia go na równi z Kopernikiem i t. p. Co prawda, wytyka mu zarazem i błędy i śmieszności, nie tylko w „Roku 1844", ale i w „Panteonie", o czym już nie-cyklopiczny p. Ch. nie uznał za stosowne wspomnieć. Hipoteza o wpływie zaś wątpliwa jest dlatego, że merytorycznie, przez porównawczą analizę poglądów ani autor notatki ani nikt inny nie próbował jej uzasadnić. Sam Trentowski natomiast, aczkolwiek przyznaje, że wiele z tego, co „sądził u siebie za najbardziej osobistą własność", znalazł (*ex post*, naturalnie) u Wrońskiego, niemniej zastrzega się najwyraźniej: „Oświadczam, że sam pierwiastek filozofii mojej i Wrońskiego jest całkowicie inny (podkreślenia autora) i stąd nauka nasza stanowi dwa całkowicie inne, przeciwne nawet sobie nawzajem światy". I o tym p. Ch. milczy, ale o to mniejsza.

Nas tu obchodzi ta sprawa o tyle, że p. Ch. mniema, jakoby Trentowski pod wpływem Wrońskiego spostponował wolnomularstwo na rzecz mesjanizmu, a co za tym idzie: odstąpił od swych tez w zakresie teozofii wolnomularskiej. Rzeczywiście Trentowski Wrońskiego stawia wyżej niż wolnomularzy. Tylko że to dwoistości jego poglądów teozoficznych w niczym a w niczym nie redukuje, ani wogóle nie dotyka. Czy pod wpływem Wrońskiego zmienił swą ezoteryczną wolnomularską naukę o grzechu pierworodnym, o odkupieniu, o objawieniu, o Chrystusie? Ani na jotę! Czy się skłonił choćby przejściowo do katolicyzmu, do chrześcijaństwa? Bynajmniej.

Bo powiedzieć trzeba i tu wyraźnie: w Hoene-Wrońskim cenił Trentowski to właśnie, że w stopniu wyższym jeszcze niż wolnomularstwo wychodził on ponad chrześcijaństwo dzisiejsze. Wolnomularstwo bowiem, jego zdaniem, „podniosło się już aż do wysokości braterstwa kościołów i narodów,.. aż do wolności zbawienia siebie samego samodzielnością św. Jana Chrzciciela". Wroński zaś idzie dalej i wyżej. „Jego zbawieniem nie świętojańska wiedza wrodzona, ale filozoficzny paracletyzm. Jego dążnością jedność filozofii i chrześcijaństwa", co się dopełni w unii mesjanicznej, w której „nikną różnice między wiarami tak religijnymi jak politycznymi", w trzeciej erze ludzkości, kiedy się skończy panowanie Boga-Syna, a „za berło uchwyci Bóg-Duch Swięty".

Mniema p. Ch., że do głębszego wniknięcia w filozofię Hoene-Wrońskiego skłonił Trentowskiego Z. Krasiński. Nie ma na to dostatecznych dowodów; nie dostarczają ich listy Krasińskiego do Trentowskiego, dochowane niemal w komplecie, a przecież stosunki ich obu ograniczały się głównie do korespondencji. Co więcej, znaleźć można w „Panteonie" wzmiankę, w której Trentowski zarzuca Krasińskiemu, że to on właśnie nie ogarniał i nie rozumiał należycie Hoene-Wrońskiego. Mówiąc o mesjanistach następcach Wrońskiego, ubolewa, że „nie pojmują i nie dościgają mistrza. Od Opatrzności bowiem, lub od Boga Ojca, przechodzą do Boga Syna i pragną tryumfu czystej nauki Chrystusowej. Jeden z nich, ostatni (t. zn. właśnie Z. Krasiński), wymaga zgoła, ażeby po kościele św. Piotra nastąpił kościół św. Jana,.. kościół godzący umiejętność z wiarą... Lecz żaden z nich nie staje aż na wyżynie Wrońskiego i nie domaga się kościoła Ducha Św".[6]) A zatem, zdaniem Trentowskiego, paracletyzm, unia mesjaniczna Wrońskiego wychodziła ponad kościół Syna Bożego, ponad chrześcijaństwo. Krasiński tego nie dostrzegł, nie przyjął, a zatem „nie doścignął mistrza". Widzimy więc i tutaj, że apoteozując Hoene-Wrońskiego Trentowski bynajmniej nie „skłaniał się" ku chrześcijaństwu, cóż dopiero ku katolicyzmowi. We Wrońskim widział nie zaprzeczenie ale nadbudowę wolnomularstwa. Obojętne zaś jest w tej chwili, czy tak rozumiejąc filozofię Wrońskiego rozumiał dobrze czy źle. Tak rozumiał.

Nie wywiedziemy więc stąd żadnego argumentu, któryby obalał, czy choćby osłabiał, tezę o dwoistości poglądów teozoficznych Trentowskiego.

STANISŁAW PIGOŃ

---

[6]) Tamże, II 168.

LAFONTAINE:

BAJKI

WILKI I OWCE

(Fables III, 13)

Po tysiącletniej wojnie, a i dłuższej nawet
Wilkom i owcom przyszło do zawarcia paktu.
Zda się, że dla stron obu znaczna korzyść aktu:
Bo gdy wilki zjadały owce zbite z traktu,
Pasterze mieli odzież z wilczych skór wet za wet.
Ni owce na pastwisku nie miały spokoju,
Ni wilki wśród uboju,
Wiecznie pełne obawy o swe inwentarze.
Wreszcie pokój zawarto, w zakład dały strony:
Wilki swoje wilczęta, owce psy — owczarze.
W sposób prawem określony
Wymiany dokonali dwu stron komisarze.
Po czasie wilczki młode
Wyrosły w wilki, łase na krew i grabieże.
Raz, korzystając z pory, gdy pasterze
Zostawili bez pieczy zagrodę,
Duszą połowę jagniąt, biorąc co najtłustsze,
I w zębach unoszą w puszczę.
Sekretnie uprzedziwszy swych ziomków o zdradzie.
Psy, ufne traktatowi, bezpieczne w zakładzie,
Ledwie poczuły, jak zginęły na śnie:
Tak sprawiono się z nimi prędko, bezhałaśnie.
Rozszarpano je w strzępy, nie uszedł z nich żaden.
Stąd możemy czerpać radę,
Że ze złym trzeba walkę wieść nieustającą.
Pokój, prawda, wszystkim płuży,
Lecz do czego się przysłuży
Pokój z wrogiem wiarołomcą?

Przełożył STANISŁAW KOMAR

NA WIDOWNI

Złota jesień.—Wymowa i jej zadumy.—Poczucie końca i mądrość wszechrzeczy. — Marność człowieka i wielkość natury. — Trwaj jesieni!

JESIEŃ i wiosna najwięcej chyba przyciągają poetyckich pochwał i najwięcej sobą czarują. Ale dziwić to nie może, a zwłaszcza już w naszym klimacie. Tak rzadko przecież mamy ładną jesień i ładną wiosnę, że aż proszą się o pochwały, tembardziej, że gdy już przyjdą, to wiosna zawsze jest „czarodziejką", a jesień „złotą".

Złota jesień... Mój Boże, ileż ma w sobie uroku. Ile ciszy i zadumy kryją jej wieczory błękitne i różowe. Jak tęskno i łagodnie zapada wtedy zmierzch. Jak jasno, ale chłodno świeci w południe słońce i jak dziwnie przejrzyste i bez chmurek jest niebo. Powietrze jest takie czyste, że wydaje się jakby wcale nie wypełniało sobą przestrzeni. Wszystkie barwy są jasne, spokojne i blade.

Jesień jest dostojną starszą siostrą wiosny, różniącą się od niej doświadczeniem i rozczarowaniem, nie śmieje się też ona beztrosko, ale łagodnie i macierzyńsko uśmiecha.

Ale obie te pory roku są dziecięce i młodzieńcze. Każda z nich mówi do nas—bawcie się dzieci,—każda do tego na swój sposób zachęca całą wymową królewskiego piękna przyrody. W obu tkwi horacjański akcent, że trzeba łapać chwile i obie są porą zakochanych, jakimś czarownym *mise en scène* dla swoich serc bijących razem.

Ale nie o to nawet chodzi. Jesień ma jeszcze inną wymowę—ogromną wymowę swego spokoju. Jest cicha i tajemnicza, jak wszystko co ze zrozumieniem patrzy na jakiś koniec. Patrzy ona przecież na koniec natury, koniec równie tajemniczy, jak jej wiosenne przebudzenie. I przeczucie tej tajemniczej agonii rodzi smętek jesieni.

Jest bowiem wszystko jasne, promienne, beztroskie i aż niepokojąco urocze. Dziwi wprost ta łaska szczęścia, jaką dają pogodne dni jesieni. Ale duszę mimo to nurtuje niepokój, że to się przecież musi kiedyś skończyć i że tak wiecznie być nie może. W pogodnem błękitnem niebie czają się jakieś gromy niełaski Bożej. Czuje się wprost tę siłę nieubłaganą, która rządzi człowiekiem i która w niwecz obraca jego plany. Czuje się własną nicość i znikomość chwili.

To właśnie majestat jesieni — dobieganie do kresu. Tajemnicze i niezbadane wyroki Opatrzności, których sensu próżno dociekać. Rządzi niemi ich własna logika, zrozumiała dopiero w perspektywie wieczności. Połowa życia jest przecież przed nami zakryta i słońce jesieni wiecznie nam świecić nie będzie. Jest ono nam darowane, jak zresztą wszystko tu na ziemi. „Pan dał, Pan wziął" — trzeba sobie powtórzyć słowa Hioba.

Bo człowiek ma naiwną wiarę, że coś ma być, że tak właśnie być powinno. Nieprawda. Jutro mu dopiero odkryje istotny sens rzeczy. Wszystkie chwile przeżywają się same i wszystko co ludzkie bieży nieubłaganie do zagłady. Od zagłady wyprosić się nie można i sekrety wieczności zdobywa się tylko kontemplując absolut — Boga.

Przyznajmy się więc, że o niczem nie wiemy, i że żyjemy jako te ptaki z ewangelii. Nasze wysiłki są dobre i zbawienne, ale nie przydamy rozmyślaniem, ani łokcia do wzrostu swojego i nigdy nie przekroczymy wytyczonego nam ręką Bożą kresu. I gdy minie wiara wiosenna, gdy skończy się dosyt lata — odezwie się zawsze niepokój jesieni. Poczucie jesieni zawsze drzemie w naszej duszy i budzi myśl o wieczności i o tym, że cykl naszego życia jednak kiedyś dobiegnie kresu, do którego każda minuta nas przybliża.

Ten kres jest sensem życia, bo on nadaje mu ocenę. Możemy teraz myśleć o troskach Marty, ale one są daremne i próżne i bogactwa posiądzie zawsze dziedzic. Można nalać falerna w puchary i upijać się ostatniem słońcem, ale i tak nieubłaganie przyjdzie kiedyś ponury ostatni dzień i mrok. A dnia, ani godziny nie wiemy. W pogodnem niebie czają się gromy i roześmiana ostatnią radością jesień nagle zachmurzy się i zapłacze. Serce się ściska tajemniczem przeczuciem.

Ale serce chce trwać, chce żyć. Chce stworzyć swoją własną nieśmiertelną prawdę życia. Uparcie też walczy i niełatwo ulega zmęczeniu. Ale mądra twarz jesieni pochyli się nad nim z macierzyńską pieszczotą. Cicho, bezsłownie zrozumie się wtedy daremność wielkich wysiłków i potęgę złudzenia. Bo sama walka nierzadko starczy za cel i zwycięstwo. Podróż jest milsza niż przybycie. A kresu nie należy przyspieszać.

Jesień nam powie, że trzeba ukoić rytm serca, że trzeba się pogodzić ze światem i uznać jego wyższe prawo. Nauczy nas cenić to co naprawdę dobre i szukać zawsze istotnego. Odsłoni odwieczną mądrość, więc idźmy za nią, słuchajmy jej poszumów i patrzmy w jej upajająco czyste niebo.

Jesień da nam zrozumienie łaski — jaką jest byt i przez to da nam poczucie szczęścia, to szczęście jest tylko w dziękczynieniu i w pokorze. „Mam prawo"—jakież to są puste i jak bezgranicznie zarozumiałe słowa. Czy człowiek rzeczywiście ma do czegoś prawo? A w każdym razie prawo do czegoś istotnego? To wszystko są złudzenia. Prawa się niema do niczego. Wszystko jest łaską. I łaska kochania spływa na serce, a zachwycenia na oczy.

Więc się prosi. Prosi o litość i miłosierdzie. O to, by niebo pozostało zawsze jasne, by życie biegło dla nas zrozumiale, by za radości nie płaciło się bólem i, by wszystko było tak doskonałe jak teraz. Prosi z całą wiarą i nadzieją, bo przecież dobroć rządzi światem. I wierzy mocno, bo piękno jest wieczne i jeśli nawet dogorywa to tylko poto, by się znowu odrodzić i odmienić.

Więc daje jesień nektar dla duszy — daje możność patrzenia na wszystko właśnie w mądrej zadumie i wszechobejmującej miłości. Bo we wszystkiem kryje się potencjalne dobro i wszystko tylko dobru służy. Jeśli liść zwiędnie, to jest to zawsze z jakimś celem i małej miary rozumu nie

należy przykładać do wielkich rzeczy natury. Prawdziwa mądrość niczemu się nie dziwi i na nic się nie oburza. Oburza się tylko serce i to jest jego prawo, ale ten bunt trzeba uciszyć. Rezygnacja może być przecież heroiczna i może właśnie być narzędziem zwycięstwa.

Wiemy więc, że jesień się skończy, i że nic nie jest wieczne, ale narazie jesień trwa i złoci wszystko dookoła. Niechaj więc jaknajdłużej będzie jasno i powtórzmy sobie za poetą (Rónayem, przekład Jankowskiego):

„Jesieni śliczna pełna lśnienia,
Pozostań krótki czas!
Odejdziesz—przyjdą mroźne tchnienia
I lodem skują nas.

Twój słońca blask tak czule spływa
Na obszar pustych stron,
Jak uśmiech, którym dogorywa
Piękność i złoci skon.

Promieniu luby, twa pieszczota
Ożywia zwiędły liść:
Tyś jest jak serca miłość złota,
Co ma już w wieczność iść.

Gdy namiętności w piersi wrące
Ukoją się już raz,
O, trwaj, jesieni śliczne słońce
O, trwaj choć krótki czas".

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

TĘSKNOTA NARODU ZA STAŁYM USTROJEM

Rok 1926 zastał parlament polski w pełni uprawnień i na owe uprawnienia był głównie reakcją. Zaczem przyszedł okres walki *régime*'u z Sejmem i Senatem. Walka ta miała kilka etapów. Pierwszy z nich to poprostu próba zdobycia większości, próba nieudana, mimo dużego zresztą wyborczego sukcesu.

Rok 1930 był właściwie powtórzeniem tej próby, tylko w momentach dla *régime*'u daleko mniej dogodnych, aniżeli w r. 1928. Dlatego też nowym wyborom towarzyszy szczególnie wybujała pomysłowość w dziedzinie tworzenia i zdobywania bezwzględnej większości. Czasy to komponowania Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, którego demagogicznym momentem w walce wyborczej i zdobywaniu oparcia był właśnie moment bezpartyjności, popularny naówczas, wskutek programowego od dłuższego czasu ośmieszania t. zw. „partyjnictwa".

Ale nie popularności haseł — wiadomo — zawdzięcza BBWR swą bezwzględną większość, która nie zadowoliła *régime*'u w zupełności. Powolne rządowi Izby Ustawodawcze nie unicestwiły raz na zawsze opozycji, nie zapewniły na lata całe rządów obozowi, który po nie sięgnął roku 1926. Powtarzanie zaś wyborów z r. 1930 nie zapewniały zdrowia narodowi — to pewna i na to zgadzali się wszyscy. Przyszło więc z kolei uprzywilejowanie Prezydenta Rzeczypospolitej w moc wydawania dekretów, ale i owo uprzywilejowanie nosiło wyraźny charakter prowizorium, podczas gdy wyczuwało się tęsknotę ku stałemu ustrojowi.

Po pierwszej próbie nowej Konstytucji, przyszła próba druga. Na zasadzie uchwalonej w kwietniu 1935 r. ustawy Konstytucyjnej, mocno już ograniczającej zakres działania Izb Ustawodawczych, ułożono nową, antydemokratyczną, aczkolwiek w duchu mocno dziewiętnastowieczną ordynację wyborczą, a na jej zasadzie rozpisano nowe wybory. W wyborach tych opozycja udziału nie wzięła, *régime* więc uzyskał parlament „totalny".

Aliści ów „totalny" parlament nie gwarantował pełnego zadowolenia dla jego twórców, skoro tłumiono w nim wszelkie próby tworzenia formujących się wciąż koterii, frakcji czy wreszcie partii, uznając jedynie t. zw. „grupy regionalne". Wiadomo było przecież, że pułk. Sławek, ostatnio marszałek Sławek, nie komunikował się z „Ozonem" dla podkreślenia swej koncepcji ponadpartyjnego parlamentu. Sejm i Senat zostały rozwiązane, a nowe wybory mają dać „pełniejszy wyraz poglądów społeczeństwa". Czy rzeczywiście dadzą ów wyraz, gdy obowiązuje wciąż dotychczasowa ordynacja wyborcza?

Mówi się powszechnie, że odnowione Izby Ustawodawcze mają dokonać właśnie zmiany owej ordynacji. Czy rzeczywiście? Jeśli tak, to będziemy mieli do czynienia z nowym eksperymentem w dziedzinie ustrojowej. A Naród tak już szczerze, tak bardzo szczerze dąży do trwałego ustroju, ustroju, któryby mu w pełni zapewniał współudział w tworzeniu historycznego procesu...

Z OBCEGO ŚWIATA

DWA AKCENTY HITLERA

W SYTUACJI pełnej napięcia, gdy każda niemal chwila grozi nowemi powikłaniami, kanclerz Rzeszy Adolf Hitler udzielił wywiadu Wardowi Price z „*Daily Mail*". W wywiadzie tym dwa momenty zasługują na szczególną uwagę.

„Czesi twierdzą — oświadczył Hitler — że nie mogą odbyć plebiscytu, albowiem tego rodzaju zarządzenie nie jest w ich konstytucji przewidziane. Mojem zdaniem — ich konstytucja zdaje się zapewniać tylko jedną rzecz, a mianowicie, aby 7 milionów Czechów mogło uciskać 8 milionów mniejszości narodowych. Te kłopoty z Czechami winny ulec natychmiastowej likwidacji i to raz na zawsze. Jest to wrzód, który zatruwa cały europejski organizm. O ile ten stan rzeczy miałby trwać nadal, to zarażałby on stosunki międzynarodowe dotąd, dopóki by one się katastrofalnie nie załamały".

Drugi moment:

„— Rząd czeski czyni rozpaczliwe wysiłki powaśnienia wielkich mocarstw europejskich, albowiem inaczej państwo czeskie nie mogłoby dalej istnieć. Ale jest rzeczą niemożliwą utrzymanie tego rodzaju nienaturalnej instytucji drogą politycznej i dyplomatycznej przebiegłości".

Słowa tak twarde, wypowiedziane w sposób bezwzględny, dosadnie określają pozycję Czechosłowacji w Europie. Dalecy jesteśmy od zachłystywania się Rzeszą, wszystko jedno druga to będzie czy trzecia, pełną też troską przejmuje nas fakt możliwości powiększenia się granic Niemiec przez włączenie do nich Ziemi Sudeckiej z 3 i pół milionową ludnością, niemniej jednak, trudno nie

przyznać, iż zobrazowanie, jaskrawe zresztą, sytuacji,zawiera wiele wymowy.

Czechosłowacja taka, jaką jest w tej chwili, państwo leżące w samem sercu Europy Środkowej, a za gwarantkę swej niezawisłości uznające Sowiecką „rudą armadę” (czerwoną armię), stanowi duże niebezpieczeństwo dla pokoju europejskiego, o tem nie trzeba chyba przekonywać, wystarczy obserwować tylko wypadki.

I tu musimy powiedzieć, to, co powiedzieliśmy już raz z racji przyłączenia Austrii do Niemiec. Wina za stan ten, który się wytworzył, leży w postanowieniach wadliwych Traktatu Wersalskiego. Jak się okazuje, Traktat Wersalski był fundatorem wielkości Niemiec a nie jej pognębicielem. Już to — trzeba przyznać — Niemcy mają do Wersalu szczęście... W nim się narodziła potęga II-ej Rzeszy, on też leży u początków potęgi Rzeszy III-ej.

Nie uwzględniono w roku 1919 naturalnego procesu wiodącego świat ku tworzeniu państw narodowych. Nie pomyślano, że prędzej czy później Niemcy muszą pokryć granice państwa z granicami swego obszaru narodowego, jak zresztą każdy naród. Nie zabezpieczono świata przed burzami i wstrząsami przez uwzględnienie żądań Dmowskiego, który żądał potężnego państwa polskiego z całą Wielkopolską, całym Śląskiem, całemi Prusami Wschodniemi i Gdańskiem.

Wierzono w moc Ligi Narodów, instytucii na utopijnej doktrynie opartej, stworzono i faworyzowano państwo będące miniaturą dawnej Austrii — Czechosłowację, pozbawioną zresztą tego jedynego waloru, jaki posiadała dawna Austria, waloru katolickiej monarchii.

Jest prawdą, że samą tylko przebiegłością dyplomatyczną nie da się utrzymać istnienia państwa i że loże, które były łaskawe, gdy Niemcy były powalone, mniej łaski okazują, gdy Niemcy są silne.

Skonfiskowano

A wszystkiemu winni „panowie w fartuszkach”.

NAUKA I LITERATURA

PREHISTORIA ŚLĄSKA

NIEDAWNO wyszedł z druku tom trzeci Prac Prehistorycznych Śląskich (Wydawnictwa Śląskie Polskiej Akademii Umiejętności. Kraków 1938, nakładem Polskiej Akademii Umiejętności). Zawiera on obok rozprawy Rudolfa Jamki na temat zdobnictwa narzędzi i oręża podokresu późno-lateńskiego i okresu rzymskiego, odkrytych na Śląsku, również sprawozdania Romana Jakimowicza i Józefa Kostrzewskiego z prac terenowych, przeprowadzonych na obszarze wojew. śląskiego w latach 1935 i 1936 (w tomie I) i 1934—1935 (w tomie II), zebrane są wszystkie wyniki badań prehistorycznych na obszarze wojew. śląskiego, dokonanych z ramienia Komitetu Wydawnictw Śląskich przy Polskiej Akademii Umiejętności. Badania te powiększyły znacznie ilość stanowisk przedhistorycznych, znanych dotychczas na tymże terenie z dawnej literatury i z wycieczek rozpoznawczych, przeprowadzanych dorywczo w okresie 1925—1932 r., a tym samym przysporzyły wiele przyczynków do dotychczasowych, skromnych zresztą, wiadomości naszych o prehistorii województwa śląskiego.

Kilkumiesięczne badania, przeprowadzone w latach 1933—1935 przez R. Jakimowicza na grodzisku w Kuchelniańskim lesie w pow. rybnickim, wykazały, że gród ten został zbudowany już w VIII, lub nawet w końcu VII w. po Chryst. przez Słowian, ściślej przez Polan znad Warty, którzy na długi czas przed początkiem naszej historii organizowali swoje państwo, rozszerzając jego granice daleko na południe i tu na pograniczu założyli warownię, broniącą wejścia od strony Bramy Morawskiej wzdłuż doliny Odry. Ciekawe szczegóły, odnoszące się do konstrukcji murów obronnych ziemno-drewnianych, budowanych w kształcie izbic czworobocznych, oblepianych od zewnątrz gliną w celu zabezpieczenia muru przed pożarem, oraz pozostałości po budynkach mieszkalaych wewnątrz grodu, świadczą o wysokiej umiejętności twórców tego grodziska w zakresie budownictwa obronnego. Nasuwają one wniosek, że mieszkańcy tej warowni musieli albo gdzieś przed przyjściem tu nauczyć się tej sztuki, albo wytworzyli ją i udoskonalili u siebie, na miejscu, w ciągu długiego czasu. Ponieważ dotychczas grodzisko w Kuchelniańskim lesie uważać należy za jedno z najstarszych znanych grodzisk słowiańskich, więc pierwsza możliwość upada, a konsekwencją tego jest stwierdzenie, że Słowianie musieli z dawien dawna zamieszkiwać tereny Śląska, jako odwieczni autochtoni, potomkowie prasłowiańskiej kultury łużyckiej, rozwiniętej na Śląsku już w drugiej połowie drugiego tysiąclecia przed Chryst. Znaleziona w r. 1937 w czasie badań terenowych, przeprowadzonych przez J. Kostrzewskiego w Syryni w pow. rybnickim, ażurowa sprzączka awarska, wykonana z bronzu, pozwala na datowanie towarzyszącej jej starszej polskiej ceramiki wczesnohistorycznej na VII w. po Chryst., a tym samym na przesunięcie polskiego osadnictwa na Śląsku o kilka wieków wstecz. Jak widzimy, dotychczasowa luka w materiale zabytkowym, odpowiadającym okresowi od VI do IX w. po Chryst., zaczyna się wypełniać, przysparzając coraz więcej faktów, stwierdzających ciągłość osadnictwa słowiańskiego na obszarze Śląska od pierwszych wieków po Chrystusie i umacniając coraz bardziej tezę o słowiańskości kultury łużyckiej.

Badania J. Kostrzewskiego przyniosły około 65 nowych stanowisk, które dostarczyły materiałów z różnych okresów przedhistorycznych, począwszy od środkowej epoki kamiennej do czasów wczesnohistorycznych. Do najważniejszych z nich należą: osady z późnego okresu rzymskiego w Leśnicy w pow. lublinieckim i Rybnej Kolonii w pow. tarnogórskim, gdzie poza licznym materiałem zabytkowym odkryto resztki chat mieszkalnych o konstrukcji słupowej, typologicznie zbliżonych najbardziej do chat znanych z terenów podkrakowskich, z osady kultury przeworskiej z II w. po Chryst. Dalej szereg osad kultury łużyckiej, przy czym w Repecku stwierdzono obecność drewnianych chat słupowych z podcieniami. Z młodszej epoki kamiennej (3000—1800 przed Chryst.) odkryto kilkanaście osad, z których do najciekawszych należą z Piłki Kolonii w pow. lublinieckim (osada kultury pucharów lejkowatych i kultury prafińskiej), z Piasecznej Kolonni i Repecka w pow tarnogórskim (osady kultury ceramiki sznurowej), oraz stwierdzono istnienie związków handlowych, jakie w tym czasie zachodziły między Śląskiem a środkową Polską, na co wskazują narzędzia wykonane z krzemienia szarego, biało nakrapianego, którego złoża pierwotne znajdują się w wojew. lubelskiem. Wreszcie nowe stanowiska ze środkowej epoki kamiennej dostarczyły sporej ilości charakterystycznych dla tego okresu drobnych narzędzi kamiennych.

W dalszym ciągu dowiadujemy się o przeprowadzonej przez śp. J. Żurowskiego inwentaryzacji grodzisk wcze-

snohistorycznych i zamczysk średniowiecznych w wojew. śląskiem oraz o ich kartograficznem splanowaniu. Obszerniejsza praca na ten temat ma się wkrótce ukazać. Poza tem w tomie pierwszym znajduje się również sprawozdanie z wycieczki wywiadowczej Wł. Antoniewicza, dokonanej w r. 1935 po północnych częściach wojew. śląskiego, która to wycieczka przyniosła kilka nowych stanowisk, głównie z epoki kamiennej.

We wspomnianej na początku pracy Rudolfa Jamki o zdobnictwie oręża i narzędzi zbija autor dotychczasowy pogląd prehistoryków niemieckich idących za tezą Kossiny, jakoby między czasem od narodzenia Chr. do końca II w. zwyczaj zdobienia narzędzi i broni nie miał miejsca na terenie Śląska i dopiero około r. 200 po Chr. pojawił się znowu pod wpływem prądu kulturowego, idącego od Gotów z krajów nadczarnomorskich. Zdaniem autora pogląd ten nie jest słuszny, bo materiał zabytkowy wskazuje na to, że nie było żadnej przerwy w zdobnictwie broni i narzędzi na przestrzeni czasu od okresu późno-lateńskiego do końca okresu rzymskiego. Poza tem stwierdza autor, że pod tym względem brak jest zupełny zabytków śląskich z kulturą gocką, która najwcześniej mogła pojawić się na Ukrainie dopiero w połowie II w. po Chr., a promieniowanie jej na tereny Śląska mogłoby mieć miejsce dopiero w czwartym wieku, to jest w czasie, w którym właśnie widoczny jest zanik ornamentyki na tego rodzaju zabytkach, czyli że ornamentyka ta w odniesieniu do zabytków śląskich nie mogła mieć nic wspólnego z kulturą gocką.

W ten sposób scharakteryzowaliśmy bogatą i niezmiernie ciekawą treść wszystkich trzech tomów Prac Prehistorycznych Śląskich. Są one dotychczas jedynym, wyłącznie prehistorii Śląska polskiego poświęconym periodykiem naukowym. Ogromne jego znaczenie łatwo zrozumieć, jeśli się zważy, że po drugiej stronie granicy wychodzi już od kilkunastu lat szereg poważnych czasopism z zakresu prahistorii Śląska niemieckiego, wspomaganych przez rozliczne wydawnictwa popularne, spełniające z powodzeniem postulat zrozumienia przez społeczeństwo ważności badań prehistorycznych.

JAN BARTYS

POWIEŚĆ O DNIU POWSZEDNIM

NOWA powieść M. Kuncewiczowej[1]) sprawia wrażenie ogromnej świeżości i bezpośredniości. Poprzez nurt codzienności, trosk, kłopotów, zdawkowości, włosów i opiłek umiała autorka oddać ten drugi nurt życia, biologiczne trwanie. Zbliżyła nas do ludzi i tychże ludzi do nas, odkryła ich duszę ale i naszą. Autentyzm i realizm psychologiczny jak w powieści M. Dąbrowskiej. Kochamy tych prostych, szarych państwa Kowalskich, którzy są symbolem, synonimem życia wogóle, kochamy ich, gdyż są cząstką nas samych, w ich troskach, kłopotach, nadziejach, małych triumfach i nie dużych porażkach upatrujemy swoje własne życie. Nie tylko kochamy ich ale i cieszymy się, ponieważ ich dobrze widzimy i — rozumiemy. Sztuka to sprawiła autorki, jej talent i znawstwo duszy ludzkiej; a przedewszystkiem jej majsterstwo w prowadzeniu dialogów. Jest to nowy typ powieści, radiowej, a więc eksperyment ciekawy i trudny. Wszak właśnie na dialogu tu wszystko polega, a więc konieczna tu selekcja, ba, eliminowanie środków wielu, któremi posługuje się normalna powieść. A wywiązała się z tych wszystkich trudności autorka świetnie.

To powszednie życie dwojga ludzi, których los czy przypadek czy głębszy sens biologiczny życia połączył. Życie na tle stolicy, Warszawy, gdzie jedno z nich, Paweł Kowalski, nauczyciel szkoły powszechnej, marzy o Polesiu i życiu małego środowiska, jak Kazimierz nad Wisłą, gdzie znów Irena marzyła o Warszawie. Ona jest pracownicą w magazynie krawieckim, co pozwala autorce konkurować z Jo Ammers Küller i opisać życie pracownic oczywiście na mniejszą skalę. Szukając mieszkania, przeważnie w niedzielę, obserwuje rozmaite typy ludzkie.

Życie obojga Kowalskich wykazuje, że między ludźmi dużo czasem bywa ścian sztucznych, które — jak się okazuje — zbudowane są z lichego materiału uprzedzeń, zawiści, zazdrości i t. p. Etapem w ich życiu to święta, a więc Boże Narodzenie, Wielkanoc, Zielone Świątki, oraz zdarzenia takie jak przyjazd matki czy ciotki. A propos ciotki uważali ją za prowincjałkę, więc już zgóry przygotowują się do ostrożności. Cóż za zdziwienie, gdy w ciotce „urodzajną jabłoń” zobaczą, kobietę wyzwoloną z przesądów! — Daje nam autorka obraz i Kazimierza nad Wisłą i Zakopanego, z ich prostotą i — snobizmem. Kąpią się państwo w świecie współczesności, a więc Windsor i Simpson, Chaplin z kina, sąsiedzi i sąsiadki oraz ich służące, złodzieje i t. d. Jak każdy z nas radość i nadzieję przeżywają, np. gdy się w Jerzego VI wpatrują i widzą w nim bożyca-człowieka, który nie tylko sobie szczęście przyniesie, ale narodowi oraz całej ludzkości. Podzielamy z autorką jej biologiczny optymizm, płynący z głębokiego umiłowania życia i wiary w to życie.

Sanok JAN ŚWIERZOWICZ

[1]) Maria Kuncewiczowa: Dni powszednie państwa Kowalskich. Powieść radiowa. Wyd. drugie uzupełnione. Warszawa 1938. Tow. Wyd. „Rój”. Drukarnia „Linolit” Warszawa. Str. VII+356+2 knlb.

JÓZEF BÉDIER

W OSTATNICH dniach zmarł we Francji jeden z najznakomitszych jej uczonych, Józef Bédier, członek Akademii francuskiej, profesor „Collége de France” i długoletni administrator tej instytucji. Zmarły zasłynął w nauce jako niezrównany badacz literatury średniowiecznej Francji, zwłaszcza jej legend epickich, owych „*Chansons de Geste*”, wśród których powszechnie jest znana „Pieśń o Rolandzie”, odszukana w całości w Oxfordzie dopiero 1836 roku. Główne dzieło Bédier'a, w którym przedstawił swój pogląd na genezę epiki średniowiecznej francuskiej nosi tytuł „*Les legendes épiques*”.

Podług autora legendy epickie powstały w czasach pielgrzymek do świętych miejsc, a ich opracowanie przypisywał współdziałaniu mnichów z wędrującymi z nimi poetami (żonglerami).

Wśród szerokich sfer czytelników Bédier był znany jako autor przepięknie zmodernizowanej legendy z cyklu bretońskiego o „Trystanie i Izoldzie”. W tej pracy, jak w wielu innych, wielką i rzetelną erudycją łączył autor z subtelnym artyzmem. Swemu żywemu patriotyzmowi dał wyraz w książce o zbrodniach niemieckich podczas w. wojny. („*Les crimes allemands d'aprés les témoignages allemands*”). Pozostawia po sobie pamięć wielkiego uczonego i powszechnie szanowanego nauczyciela. W. J.

RUCH WYDAWNICZY

Artur Górski. „Ku czemu Polska szła?”. Wydanie czwarte. Państwowe Wyd. Książek Szkolnych. Lwów 1938. Str. 280. Cena zł. 5.—.

Nowe wydanie pięknej książki A. Górskiego nie różni się zasadniczo od wydań poprzednich.

„Pomimo nowego naszego położenia dziejowego—pisze autor w przedmowie—pozostawiam pracę niniejszą, kończącą się na Sobieskim, w jej dawnem ujęciu. Ma ona charak-

ter historycznego *memento* — i taką niech pozostanie. Jej wiara w polskość, pełna nadziei, w czasach burzy dziejowej, która gięła dęby ku ziemi i u wielu Polaków nadłamywała nadzieje, ta jej ufność w wyższy porządek rzeczy i w polską na świecie zasługę, osłania wystarczająco ową gorzkość, jaką ma w sobie zaduma nad katastrofą rozbiorów, nad dochodzeniem jej przyczyn. Wszystkie te przyczyny, chociażby czysto zewnętrzne, załamywać się muszą w końcu w jakiś sposób w psychice odnośnych pokoleń, w niej znajdują swój odpór albo swego ślepego sprzymierzeńca. Warsztat doświadczalny, jakim jest przeszłość historyczna, winien być wykorzystany w tym kierunku, aby na przyszłość zrzucić z siebie ciężar fatalności, które w mrocznych zaułkach tej psychiki zbiorowej uwiły sobie swoje gniazdo. Na tem polega wychowanie przez historię. Jest to połowa jego zadań: wiedzieć, czego nie czynić, czego wystrzegać się. Druga ważniejsza połowa, mianowicie wiedzieć, co czynić, związana jest ze świadomością wielkich przeznaczeń, związanych z indywidualnością narodu".

Na specjalne uznanie zasługuje szata zewnętrzna książki, piękny wyraźny druk, dobry papier, gustowna okładka Wacława Siemiątkowskiego.

*

Kazimierz Piwarski. „Pomysły odzyskania Śląska za Jana III Sobieskiego". Katowice 1938. Str. 30. Cena zł. 1.20. (Polski Śląsk"—nr 37).

Broszura wybitnego historyka krakowskiego przynosi zwięzłe ujęcie dążeń rewindykacyjnych, jakie się w Polsce w stosunku do Śląska pojawiały za czasów króla Jana III. Rozpoczynając od pomysłów śląskich Sobieskiego jeszcze jako hetmana, autor przedstawia poglądowo znaczenie sprawy śląskiej w związku z fluktuacjami polityki zagranicznej Polski między Francją i Austrią, a wreszcie opisuje objęcie Oławy przez syna królewskiego Jakóba jako jedyny realny efekt polityki śląskiej Sobieskiego.

*

Józef Skoczek. „Udział Śląska w rozwoju i kulturze południowo-wschodnich ziem Polski". Katowice 1938. Str. 37. Cena zł. 1.50. („Polski Śląsk"—nr. 38).

Autor wyzyskał w swych badaniach dużo materiału źródłowego z ziem czerwonoruskich w celu naszkicowania obrazu wpływu Śląska na kształtowanie oblicza kulturalnego Rusi Czerwonej i Podola w wiekach średnich. W świetle tych badań zaznacza się duży rozmiar wartości kulturalnych, jakie dawał Śląsk naszym ziemiom południowo-wschodnim.

ZE ŚWIATA MUZYKI

CO BĘDZIE Z OPERĄ?

ZAGADNIENIE opery w Warszawie wysuwa się już od kilku lat na czoło spraw kulturalnych stolicy. Mówi się o niej i pisze bezustannie, zmieniają się co sezon, lub dwa kierownicy artystyczni, administracyjni. Ale zagadnienie samo zaciemnia się coraz bardziej. Tak zwana „szeroka publiczność" nie tylko nie nabiera przekonania że byt Opery stołecznej to sprawa dla kultury polskiej poważna, ale przeciwnie ugruntowuje przekonanie, że czynnikom decydującym w kraju sprawa opery bynajmniej nie leży na sercu. Sprawy dzierżawy gmachu traktuje się conajwyżej tak, jak konieczność ogrodzenia pustego placu lub pomieszczenia bezrobotnych w jakimś przygodnym budy nku z uwagi na to, że ogrzewać go będą, a więc uchronią od zniszczenia. Kiedy się jednak stanie przed wspaniałym kompleksem gmachu Teatru Wielkiego i pomyśli, coby z takiego rezerwatu zrobiono bodaj w którymś z parumilionowych państw nadbałtyckich, w Czechosłowacji czy Bułgarii — poprostu trzeba się wstydzić za tych, którzy nie doceniają tego, co przekazała im przeszłość. „Co będzie z Operą" — oto jedno z pytań będących od dawna na ustach obywatela Warszawy, pytanie, na które w chwili obecnej, w przededniu nowego sezonu, nikt nie zdoła odpowiedzieć.

Przybyłem do nowego kierownika artystycznego teatru, dyrektora Adama Dołżyckiego z prośbą o udzielenie mi wywiadu prasowego. „Zamiast wywiadu, którego udzielać nie lubię, — odpowiada mi z uśmiechem dyr. Dołżycki, — niechaj pan lepiej obejdzie cały gmach i sam przekona się, jak pracujemy". Istotnie we wszystkich salach, na scenie, za kulisami i w garderobach ruch. Wre praca przygotowawcza, podjęta już kilka tygodni temu. Chóry ćwiczą zapamiętale, balet powtarza niezliczoną ilość razy swoje ewolucje do arcytrudnych „Harnasiów" Szymanowskiego, na scenie głównej odbywa się jakaś próba sytuacyjna. Pracują wszyscy, od dyrektora do inspicjenta. Aż miło jest spojrzeć na tę pracę, to też zaglądają tu raz poraz przedstawiciele prasy polskiej i zagranicznej. Jeżeli się jednak wie, że sezon 1938/39 zakreślony jest tylko na sześć miesięcy, że dzień 1 kwietnia 1939 oznaczać będzie zapewne przymusowe bezrobocie zespołu, jeśli się obliczy, że personel, podany mi przez Dyrekcję Opery na 450 osób, to w istocie blisko tysiączna rzesza, skoro się słyszy o „wysokości" gaż artystów — to poprostu trzeba kornie pochylić czoło wobec tego bezprzykładnego entuzjazmu i umiłowania nietylko sztuki ale i placówki, jaką jest od lat stu stołeczna opera polska. Jeżeli bowiem 600 złotych, to najwyższa gaża w teatrze, którą otrzyma parę zaledwie osób, można sobie z łatwością wyobrazić, ile zarabiają pozostali soliści, członkowie orkiestry, nie mówiąc już o balecie i chórach!

Te 300 tysięcy złotych, łaskawie przyznanych Operze jako roczne subsydium, podzielone przez 6 miesięcy i 450 członków zespołu, dadzą grosze. Zresztą wiosna, kwiecień r. przyszłego sprowadzić ma i te zarobki do zera. Piszemy o artystach, zapominając, że drugi głos w tym chórze ma — publiczność. Od niej bowiem zależy sukces „Harnasiów", nowych inscenizacji operowych i operetkowych. Jak dawniej paradyz decydował o moralnym sukcesie sztuki, tak dziś — powiedzmy to sobie otwarcie — cała widownia decyduje, jak w danym przypadku — o bycie instytucji. Czy istotnie publiczność warszawska jest dla swojej Opery obojętną? Czy wszyscy widzowie odwrócili się od przedstawień operowych, jako od „przeżytku"? Czy nie mamy kadrów tak zawsze pełnej entuzjazmu, młodzieży szkolnej, akademickiej, wiejskiej, a nawet upośledzonych materialnie, sfer urzędniczych? Czy nie należałoby pomyśleć o pozyskaniu tych sfer drogą przedstawień abonamentowych?

Czytamy, że zagranicą (nawet w Z. S. R. R.) sale operowe wypełniają robotnicy z poszczególnych fabryk, uczniowie i żołnierze. Oczywiście ceny są niskie, ale zato *„plenum"* zapewnione! — Te refleksje przychodzą mi na myśl podczas rozmowy z Dołżyckim. Nie wyrażam ich słowem, gdyż nie są jeszcze skrystalizowane. Zresztą, czy wolno mi narzucać jednostce tak wybitnej swoje uwagi. Tym razem jednak czynię to publicznie, z tą myślą, że wywołać mogą dyskusję, a nawet wyraźny sprzeciw. Oby je wywołały, gdyż zdaniem moim, wszelka reakcja, nawet ujemna, pożyteczniejszą jest dla zagadnienia od obojętności. W sprawie bytu Opery polskiej nie wolno nam zachować kwietyzmu. Patrzy na nas nie tylko zagranica, gdzie opera bynajmniej nie jest przeżytkiem. Kto wie, czy z firmamentu niebios nie spoglądają ku ukochanej przez siebie operze oczy jednego z jej czołowych twórców — mądre i kochające zarazem oczy Stanisława Moniuszki.

ASPER

ZMARLI

Ś. P. JAN SOCHA

ZMARŁY w dn. 9 b. m. we Lwowie Jan Nałęcz Socha, doktór praw, ostatnio członek Sądu Apelacyjnego we Lwowie, — należał do najdawniejszych i najbardziej zasłużonych działaczy Stronnictwa Narodowego. Był jednym z pierwszych małopolan, którzy zrozumieli doniosłość ruchu wszechpolskiego i całem sercem mu się oddali. Właśnie kończył we Lwowie studia prawnicze, gdy J. L. Popławski i R. Dmowski założyli we Lwowie „Przegląd Wszechpolski". Zbliżył się do nich i czynnie pomagał w rozpowszechnianiu pisma na miejscu i za kordonem.

Jako członek Ligi Narodowej należał do założycieli Stronnictwa Dem.-Narodowego wespół z Głąbińskim i Pawlikowskim.

Był wtedy sędzią w Trembowli na Podolu. Pozostając w stałych stosunkach z redakcją „Słowa Polskiego" i zarządem stronnictwa, pracował gorliwie na polu społecznem, mając doskonały punkt oparcia w Tow. Szkoły Ludowej.

Pięknie zakwitało wtedy życie polskie na kresach wschodnich. Nie ściągało ku sobie prześladowań ze strony władz politycznych miejscowych, pomimo, że rząd wiedeński sprzyjał raczej ukrainizacji tego kraju.

W r. 1907 przeniesiony do Lwowa na stanowisko prokuratora, pracował tutaj do wojny, pomimo, że nie taił swojej orientacji politycznej pro-alianckiej. W r. 1915 wyjechać jednak musiał z Galicji. Do r. 1918 mieszkał w Kijowie, gdzie był bardzo czynny we Lwowskim Komitecie ratunkowym.

Przed kilku laty przeszedł z Sądu Apelacyjnego w stan spoczynku. Czynny był jednak do samej śmierci (zmarł w 66 roku życia) na polu kultury religijnej z tytułu stanowiska, jakie zajmował w miejscowej Akcji Katolickiej.

Pamięć człowieka prawego, wielce zasłużonego dla sprawy narodowej pozostanie po nim u potomnych.

W.

PODZIĘKOWANIE

Z POWODU ŚMIERCI mojej żony ś. p. Heleny Wasilewskiej doznałem ku pocieszeniu tylu dobrodziejstw współczucia ze strony przyjaciół, że najgłębszą potrzebą mojego serca jest w tej chwili wyrażenie im wdzięczności.

Nie mając możności podziękować każdemu z osobna pozwalam sobie na tę formę komunikatu za pośrednictwem blizkich mi organów prasy w nadziei, że w tym kręgu wszyscy moi drodzy adresaci się odnajdą i podzielą się moją bezgraniczną wdzięcznością. Składam zaś to podziękowanie od siebie i od całej rodziny w trzech pokoleniach jako najstarszy jej przedstawiciel.

Szczególną wdzięczność wyrazić pragnę proboszczowi parafii Zbawiciela ks. prałatowi Marcelemu Nowakowskiemu, że nadał obrzędom pogrzebowym charakter uroczysty, uświetniając je osobistym w nich udziałem i pięknem na cmentarzu przemówieniem.

Osobne podziękowanie winienem władzom naczelnym Stronnictwa Narodowego za nadesłane kondolencje i za udział w pogrzebie, tudzież kolegom w prasie, zwłaszcza w „Warsz. Dzienniku Narodowym" za dobre o Zmarłej słowo i okazaną mi serdeczność.

ZYGMUNT WASILEWSKI

NA MARGINESIE

PRZED DZIESIĘCIU LATY

„Na marginesie" w r. 1928 pisało się wiele o wyborach do parlamentu. W nr. 8 „Myśli Narodowej" czytamy:

„Nie kandydaci walczą podczas tych wyborów, lecz idee". Jednak „idee" są teraz kosztowne! Podobno komitet warszawski Be-Be zużył już trzydzieści parę wagonów papieru. I to w walce z listą 24, która zadrukowała najwyżej pół wagonu. Taniej, pokazuje się, kosztują idee autentyczne... Ale to najciekawsze, że cała „walka idei" — taka pozornie zasadnicza — polega na podszywaniu się pod idee zwalczanego przeciwnika. Fałsz tak dużo kosztuje".

*

W innym numerze:

„Z powodu tłoku kandydatów na listę Be-Be ktoś powiedział proroczo: „Wielu powołanych, ale mało wybranych". A na to ktoś inny dorzucił: „To gorzej, że wśród tych wybranych będzie mało powołanych".

*

W nr. 2:

„Masoneria już z odsłoniętą przyłbicą prowadzi brygady swoje na obóz, który pod hasłem obrony narodu i Kościoła szereguje wiernych. Odezwę biskupów polskich prasa masońska okrzyczała jako demagogię (Epoka), „Szkodliwą dla państwa" (Naprzód), grożąc wypowiedzeniem konkordatu i oddzieleniem Kościoła od państwa. Mamy w pamięci, jak krzyczano w tej „miarodajnej" prasie: „precz z władztwem czarnych sutan w szkole i urzędzie, w obyczajach narodu — w małżeństwie i polityce!" (Głos Prawdy). A oto teraz odbył się we Lwowie zjazd rabinów. Dzienniki żydowskie (Nowy Dziennik) podnoszą okazaną rabinom uprzejmość. Podejmowano ich ostentacyjnie. Rabini korzystali, a było ich 124, z bezpłatnego przejazdu nadzwyczajnym pociągiem. Zjazd w rezolucji wyraził „pełne zaufanie rządowi, w szczególności zamierzeniom marszałka Piłsudskiego, wzywając społeczeństwo żydowskie do bezwzględnego popierania tego rządu". Pokazuje się, że można osiągnąć harmonię w stosunku z przedstawicielami wyznań".

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.